DZIŚ i JUTRO

ROK II. Nr. 4.

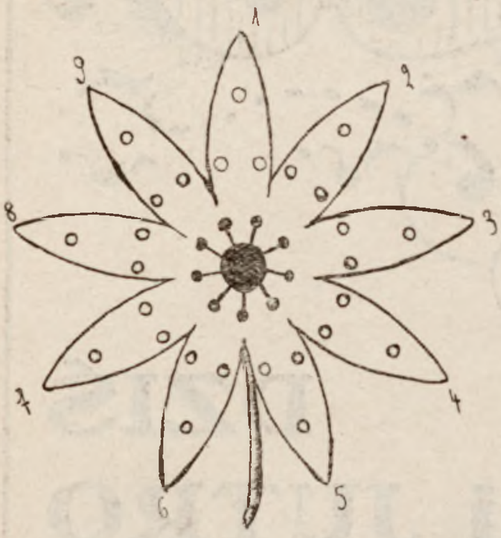
15. LUTEGO 1926



J. Chełmoński Trójka.

CENA EGZEMPLARZA 55 groszy.

ZAGADKA KWIATKOWA
(ułożyła T. M.).



Czarne punkty na końcach pręcików i białe kółka na płatkach kwiatu, zastąpić literami, tak, aby powstało 9 wyrazów pięcioliterowych określonych poniżej. Pierwszą i ostatnią literą każdego wyrazu są czarne punkty na pręcikach. Środkowe litery wyrazu znajdują się na płatkach odpowiadających danym pręcikom. Litery na czarnych punktach pręcików czytane po kolei, mają utworzyć nazwę pewnego kwiatu.

Znaczenie wyrazów:

1. Przerób surowca znajdującego się w ziemi. 2. Góry w Afryce. 3. Forma wiersza. 4. Port na jednej z wysp japońskich. 5. Widmo. 6. Dawne narzędzie do pisania. 7. Czasownik w trybie rozkazującym. 8. Drzewo. 9. Kompozytor francuski XIX w.

ŻARCIK CHEMICZNY
(ułożyła Jadźka ze Stanisławowa).

Z jakich pierwiastków składa się potas?

ŁAMIGŁÓWKA PRZYSŁOWIOWA.

Podane litery należy przestawić i rozdzielić na poszczególne wyrazy w ten sposób, aby otrzymać z nich przysłowie:

a, a, ą, e, e, e, e, e, e, e, e, ę, i, i, i, i, i, i, i, i, j, j, k, k, l, l, l, m, m, m, n, n, n, o, p, r, s, w, w, y, z, z.

ROZWIĄZANIA ŁAMIGŁÓWEK z Nr. 3.

REBUS

Nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje.

SZARADA

Kosa - kos - osa - as - sok - sak.

KRZYŻÓWKA SYLABOWA

■	Te	li	me	na	■	A	me	ry	ka	■
■	le	man	■	ta	go	re	■	ba	ba	■
war	ga	■	li	lja	■	na	wa	■	ła	pa
sza	■	ło	twa	■	ko	■	wer	wa	■	le
wa	le	zy	■	fi	ran	ka	■	ga	ze	ta
■	le	■	mu	zy	■	ju	tro	■	ga	■
no	wel	ka	■	ka	ie	ta	■	dy	rek	tor
ży	■	ro	sa	■	szek	■	I	wan	■	tu
ce	la	■	me	dal	■	pa	rys	■	pa	ra
■	o	czy	■	ma	gi	ster	■	a	ra	■
■	kon	sty	tu	cja	■	ka	ty	li	na	■

TREŚĆ Nr. 4-go.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

ROK II. 15. LUTEGO 1926. № 4.

Poświęćcie post, zwołajcie gromadę, zbierzcie starce i wszystkie obywatele ziemskie do domu Boga waszego, a wołajcie do Pana.

Bo przychodzi dzień Pański, bo blisko jest
Dzień ciemności i mroku, Dzień obłoku i wichru...

Przetoż teraz mówi Pan: Nawróćcie się do mnie ze wszystkiego serca waszego, w poście, i w płaczu, i w żalu.

I rozdzierajcie serca wasze, a nie szaty wasze, a nawróćcie się do Pana Boga waszego, bo dobrotliwy i miłosierny jest, cierpliwy i mnogiego miłosierdzia i łacny do ubłagania nad złością i kający się złego.

Zgromadźcie lud, poświęćcie kościół, zbierzcie starce, zbierzcie dzieci.

(Z proroctw Joela).



J. Chełmoński Burza.

JÓZEF CHEŁMOŃSKI.

1849 † 1914 r.

Józef Chełmoński — to jeden z najznakomitszych malarzy polskich. Twórczość jego przypada na sam koniec ubiegłego i pierwsze lata naszego wieku. Pochodził ze wsi mazowieckiej, stamtąd wyniósł umiłowanie przyrody rodzinnego kraju, z którą obcował od dzieciństwa brodząc po lasach i piaskach, podpatrując życie ptaków i zwierząt. W szkole miał upodobanie do zoologji, celował w rysunkach i malarstwie. Po ukończeniu szkoły średniej w Warszawie, zaczął uczęszczać w 1869 r. do warszawskiej szkoły rysunkowej, a jednocześnie do prywatnej pracowni Wojciecha Gersona. Tam powstały jego pierwsze wybitne dzieła; idąc za wzorem swego nauczyciela, rozpoczął od scen rodzajowych: *„W kościele na rezurekcji"*, *„Dziewczę na przełazie"*, *„Matula są"*, w których już zaznaczył swą silną indywidualność artystyczną. W r. 1870, dzięki zainteresowaniu i poparciu Brandta wyjechał młody malarz do Monachjum, gdzie uczęszczał do najsławniejszych pracowni, żaden jednak z obcych twórców nie wywarł nań poważniejszego wpływu. Po Gersonie oddziałali silniej na Chełmońskiego tylko Gierymski i Brandt.

Po 3 latach studjów wraca do Warszawy i wyjeżdża na Ukrainę. Pobytowi wśród stepów zawdzięcza zwrot ku malowaniu koni: motyw konia wybija się teraz na pierwszy plan jego prac.

„Rumak Chełmońskiego to nie wymuskany, układny pański koniczek, ale przeważnie dziki, stepowy, ścigły, jak wiatr biegun, trochę zaniedbany, boć wychowany nie pod ręką dżokeja, ale pod gołem niebem, na bezbrzeżnym stepie" [1]).

Nadto w okresie tym stworzył między innemi prześliczne *„Babie lato"*, które przedstawia pastuszkę ukraińską, leżącą w blaskach zachodu na stepie i igrającą swawolną dłonią z fruwającemi nićmi „babiego lata".

W r. 1876 udaje się Chełmoński do Paryża, gdzie przebywa przez lat 10. Tworzy tam dzieła będące echem dawnych przeżyć, jakby przy-

[1]) Wit. J. K. „Wspomnienia".



J. Chełmoński Na folwarku.

pomnieniem wrażeń, niegdyś doznanych: *„Pocztarki“*, *„Napad wilków“*, *„Deszcze“* i inne. Za *„Pojedynek Kozaków“* otrzymał wówczas „mention honorable“, zaś w 1889 r. na wystawie powszechnej w Paryżu został odznaczony najwyższą nagrodą — „Grand prix“.

Powrót do kraju i osiedlenie się na wsi dodatnio wpłynęły na Chełmońskiego, talent jego jaśnieje w całej pełni, dochodzi do zenitu swej twórczej potęgi: Chełmoński wchodzi w fazę p e j z a ż u, a na tle jego uduchowionem tworzy swe największe arcydzieła, *„Piorun“*, *(„Burza“)*, *„Boćki“*, *„Kuropatwy“*, *„Wśród zboża“*, *„Czajki“*, *„Polowanie na głuszec“*, *„Jezioro w lesie“*, *„Droga przez las“* itd. Wystawia te rzeczy w Warszawie, budząc w całym narodzie entuzjazm, który głośnem echem rozchodzi się zagranicą, zjednując mu wszechświatową sławę, oraz złoty medal w Monachjum i najwyższą nagrodę: Ehrendiplom w Berlinie.

W pracach swych nawiązywał nasz artysta do twórczości Matejki, J Kossaka, a nadewszystko Brandta, Gierymskiego i Gersona, pozostaje jednak nawskróś oryginalny i działalność jego jest epoką w historji malarstwa polskiego. Chełmoński to nietylko bowiem największy pejzażysta polski, najbujniejszy malarz szerokich przestrzeni, żabich koncertów i bezmiernej, nocnej ciszy; nietylko genjalny twórca nadmiernego, niepohamowanego ruchu, ale głęboki znawca typów i życia wsi polskiej. On pierwszy wprowadził do sztuki polskiej rzeczywistego, z krwi i duszy chłopa, zrywając z tradycją konwencjonalnych lub komicznych kmiotków dawniejszego malarstwa, oraz „malowniczych“ chłopków Kossaka.

Chełmoński nie fantazjował — to potężny malarz realista, który z poetycznością prawdziwego artysty, potrafił oddać wiecznie nową prawdę — niestarzejących się nigdy natury i życia.

A narzucają się nam te jego obrazy z nieodpartą mocą, gdyż jakaś wielka dusza wcielona jest w każdem jego dziele. Uczucie przepaja nawskróś jego twórczość, uczucie płynące prosto z serca i to z polskiego serca — bo Chełmoński jest malarzem wybitnie polskim, z każdego obrazu jego przemawia polskość: Ta typowa tęsknota, właściwość naszego narodu, temperament, ukochanie ziemi i cześć dla niej, szaleńcza fantazja i ten cichy, głęboki, jedyny polski sentyment, daleki od rozmazania i płaczliwości, a wyzierający poprzez najbardziej roześmiany krajobraz — to coś z duszy polskiej, co zupełnie odróżnia nas od innych.

„Powstał między nami, jako piewca ziemi naszej, miłości dla niej, przywiązania pracy — on pierwszy zrozumiał chłopa polskiego, wy-



J. Chełmoński — Droga przez las.

rażając dlań cześć i on pierwszy temu chłopu i jego duszy postawił pomnik w sztuce polskiej".

Chełmoński nigdy nie malował natury obcej, dał najgenjalniej i najwszechstronniej syntezę krajobrazu ojczystego. Malował życie w najróżnorodniejszych jego przejawach, wcielając się w coraz to inne sprzeczne zupełnie nastroje.

Oto scena na folwarku — mistrzowski obrazek rodzajowy, przenoszący nas w czasy szlacheckie — uwagę przykuwa potężny źrebiec, w którym krew gra i kipi, który drży cały od wewnętrznego buntu przeciw ludziom i ich władzy, jest uosobieniem ruchu mimo pozornie spokojnej, wrośniętej w ziemię postawy. „*Droga przez las*", „*Jesień*", tchną przedziwnym spokojem.

„*Trójka*" porywa dziką, nieokiełzaną siłą: wściekły pęd lecących wprost na widza rozhukanych, wyskakujących niemal z płótna koni. Tyle życia w tym obrazie, ile go jest w samem życiu! To jedno malowidło stawia już Chełmońskiego w rzędzie najświetniejszych twórców świata!

I. Żywiepolska.

ZARYS ROZWOJU CHEMJI.

(Ciąg dalszy).

Metody Joule'a były zbyt proste, a Mayera zbyt filozoficzne, nie wierzono ani jednemu ani drugiemu.

Do grona tych, co nie rozumieli Mayera, należała jego żona, kobieta o męskim charakterze. Zatargi domowe doprowadziły go do tak silnego rozstroju nerwowego, że wyskoczył oknem z II-go piętra, że nadwerężył sobie obie nogi i chodził z wielkim trudem przez pozostałe 28 lat życia. Ani rodzina, ani lekarze nie zrozumieli przyczyn

choroby uczonego, twierdząc, że cierpi na manję wielkości, na chorobliwe sny o nadzwyczajnych odkryciach naukowych. Umieszczono go w domu obłąkanych. Zbytecznem byłoby dodawać, jak bezowocne były wszelkie zimne wody, kaftany i t. p. Zasady Mayera podbiły świat naukowy. Fizyk Helmholtż w r. 1847 nadał prawu zachowania energji wyraz matematyczny. Prawda odniosła zwycięstwo nad ciasnotą umysłową — na Mayera posypały się tytuły i zaszczyty... Pracował do końca życia nad rozwojem swoich pomysłów naukowych. Umarł w r. 1878.

Myśli nieraz powoli torują sobie drogę. W r. 1891 wyraził się Tyndall: „W wieku naszym nie było genjusza większego nad Roberta Mayera".

Niezwykłe zdobycze z dziedziny przyrody nie przyćmiły w nim wglądu w rzeczy duchowe. W odczycie swoim na zjeździe przyrodników w Innsbrucku tak powiada: „Kto raz doszedł do przekonania, że istnieją nietylko objekty materjalne, lecz i siły — siły w ściślejszem znaczeniu wiedzy najnowszej, taksamo niezniszczalne, jak materja chemika — ten ma do czynienia tylko krok jeden w kierunku przyjęcia i uznania egzystencyj duchowych. W świecie nieożywionym mówi się o atomach, w świecie ożywionym znajdujemy indywidua. Żyjące jednak ciało składa się, jak wiemy obecnie, nietylko z części materjalnych, lecz istotnie także i z energji. Ale ani materja, ani energja nie mogą myśleć, czuć i chcieć. Człowiek myśli"! — i dalej kończy swe przemówienie: „Z pełnego, całego serca wołam: Filozofja prawdziwa nie może być czemś innem, jak tylko propedeutyką religji chrześcijańskiej" [1]).

* * *

Przypatrując się rozwojowi nauki chemji widzimy, że chemja u ludów starożytnych w wieku alchemji czy jatrochemji ogranicza się do o b s e r w a c j i. W okresie teorji flogistonowej weszła na tory s y s t e m a t y k i.

Chemicy usiłują stworzyć układ ciał chemicznych, oparty na ich pochodzeniu. Rozklasykowują ciała na pochodzące ze świata mineralnego, roślinnego, bądź zwierzęcego. Równocześnie odbywa się przewrót w samej wiedzy: chemja z opisowej staje się nauką rozumową, opiera się na niewzruszonych prawach przyrody i szuka przyczynowego powiązania zjawisk. Jak każde badanie naukowe, tak i praca chemika polega na stwierdzaniu faktów, rozczłonkowaniu badanych zjawisk na poszczególne czynniki, zmierzeniu ich i zbadaniu wpływu każdego na całość. Mierzono w XVIII w. masy i ciężary pierwiastków, zarówno jak i ich połączeń, porównywano jedne z drugiemi. Stąd wynikło prawo zachowania masy, stałych i wielokrotnych stosunków.

Po przeszło pół-wiekowej pracy odkryto drugi, ważny składnik zjawisk chemicznych, dający się na równi z masą mierzyć — energję. Ona mieszka w każdym pierwiastku i w każdem połączeniu — ujawnia się przy przebiegu reakcji w postaci ciepła i może być zawsze obliczona przy pomocy pomiarów podwyższenia, rzadziej — obniżenia temperatury otoczenia. Wszelkie pomiary dowiodły niezniszczalności energji.

I znowu upłynęło blisko pół wieku, zanim zwrócono uwagę na inny, bardzo ważny czynnik reakcji — na c z a s jej trwania.

W nieskończonej rozmaitości czasu i przestrzeni, w nieustannym biegu zjawisk — robi człowiek coraz nowe spostrzeżenia, wpatrzony w bezkreśnie



Jan Dalton.

długi szereg zdarzeń, co się nigdy nie powtarzają i staje się bibljotekarzem, którego zadanie polega na porządkowaniu i katalogowaniu spostrzeżeń dostępnych jego epoce. On ujmuje przyrodę w pewne prawa, dążąc do ekonomji myślenia, wielość sprowadza do małości. Obok praw buduje przypuszczenia... h y p o t e z y, których życie mniej lub więcej jest krótkie. Same w sobie nieraz nawet mylne, spełniają rolę rusztowania przy budowie gmachu prawdy.

Od czasów „śmiejącego się filozofa" Demokryta (470—360 przed Chr.) zastanawiano się nad wewnętrzną budową materji i pytano o jej ciągłość lub nieciągłość. Atomami „niedziałkami" nazwał Demokryt cząsteczki, stanowiące niejako cegiełki, z których zbudowana jest materja.

Ciała na pozór jednolite, jak naprzykład stal w silnem powiększeniu ukazują budowę krystaliczną.

W myśli — możemy posuwać się dalej, dzielić bez końca. Wykonanie zależy od rozwoju techniki w danej chwili, stąd z góry przeczuwano możność podzielności atomów. Ostatnią cechą atomów, to nie ich niepodzielność, ale ich indywidualne istnie-

[1]) Odbitka z dziennika 43-go zjazdu niemieckich przyrodników i lekarzy w Innsbrucku 18—24 września 1869 r. str. 40—44.

nie. Hipoteza, dziś już stwierdzona doświadczalnie o pierwszorzędnem naukowem znaczeniu. Przy jej pomocy jakże łatwo wytłomaczyć zmianę objętości ciał, rozpuszczalność, dyfuzję, syntezę ciał złożonych lub ich rozpad. Weźmy naprzykład syntezę najprostszego ciała t. j. wody. Atom tlenu podaje ręce dwom atomom wodoru i trzymając się razem, z gazów — stają się cieczą, składającą się ze skupień atomów, z „drobin" czyli „molekuł". Dzięki hipotezie atomistycznej powstają u schyłku XVIII w. trzy zasadnicze prawa działań chemicznych, wykryte przez Jeremjasza Benjamina Richtera (1762—1807) chemika w fabryce porcelany w Berlinie i Józefa Ludwika Proust'a (1755—1826) początkowo aptekarza, następnie profesora uniwersytetów w Hiszpanji.

Pierwsze z nich brzmi: „Jeżeli dwa ciała łączą się ze sobą, to czynią zawsze w określonym stosunku ciężarowym", nadmiar jednego lub drugiego składnika nie weźmie udziału w reakcji i wydzieli się z niej jako taki.

Chemik angielski Dalton (1766—1844) dowiódł, że pierwiastki mogą tworzyć ze sobą nieraz wiele połączeń, jak naprzykład tlen i azot dają aż pięć tlenków, ale stosunki tych pierwiastków dadzą się zawsze wyrazić liczbami całkowitemi — i nie co innego musi być podstawą tych stosunków jak ciężar ich atomów. Ale jaka może być wielkość tychże?.. Aby na to pytanie odpowiedzieć, przypomnijmy sobie granice podzielności ciał dostępne naszym sposobom.

Faraday otrzymywał drogą elektrolityczną blaszki złote o grubości 0·000001 mm. Röntgen — warstwy oleju o grubości 0·0000005 mm. — a rozchodzenie się zapachów, lub rozpuszczanie barwików (fluoresceina 1 gram w stu miljonach cm^3 wody) — dowodzą niezmiernej subtelności cząsteczek, a cóż dopiero mówić o atomach?.., których widzieć ani ująć w grube nasze ręce nie możemy. Musimy jednak przyjąć, że i atomy posiadają właściwy sobie ciężar, tak mały, że go żadną, by też najczulszą naszą wagą uchwycić nie możemy.

Ciężary atomowe są liczbami względnemi, wyrażającemi, ile razy atom danego pierwiastka jest cięższy od atomu wodoru, przyjętego za jednostkę. Międzynarodowe Komisje ustalają te ciężary w miarę doskonalenia się techniki badania pierwiastków i wydają co roku spisy pierwiastków z ich ciężarami atomowemi.

(C. d. n.) *M. Aa.*

NIEZIEMSKA IDYLLA.

(Dokończenie).

Matki zakonne chlubiły się nią jako jedną z uczennic, rokującą najpiękniejsze nadzieje. Pod wpływem życia, pełnego harmonji wewnętrznej, na podłożu tradycjonalnie przejętej potęgi wiary — z coraz-to większą mocą jęła się rozwijać w młodej dziewczynie żarliwość modlitwy.

Ileż-to razy, klęcząc w kaplicy klasztornej, wśród szeregu koleżanek i zastępu przyodzianych w biel Matek, opuszczała myślą ten przybytek Chrystusa, przepełniony zastępem wiernych i leciała przez dalekie lądy i morza kędyś w świat, aż do wnętrza afrykańskich puszcz. Tam — jawiły się jej z wyrazistością niezmierną — małe, ubogie kapliczki misyjne. Tam — w braku tłumu gorejących wiarą wyznawców — usuwała się z pokorą na klęczki, wielbiąc płomiennie samotne, zamknięte w złotej monstrancji „Sanctissimum". Albo przebywając w wyobraźni wśród nielicznych, kędzierzawych murzynków, nawróconych świeżo na wiarę prawdziwą, pragnęła pobudzić ich niedokształcone jeszcze pojęcia bezbrzeżnej miłości dla „Baranka Bożego" przykładem własnej, religijnej ekstazy.

Gdy po skończeniu nauk przybyła do domu, postanowienie oddawna już rysujące się w nieśmiałych zarysach na dnie duszy — wystąpiło nagle z całą powagą dojrzałego umysłu. Zwróciła się do ojca, korzystając z odpowiedniej chwili:

— Ojczulku! Cobyś na to powiedział, gdybym całe swe życie poświęciła Chrystusowi?

Pan Łukasz wstrząsnął się nerwowo pod ciosem zapowiedzi, będącej dlań nieoczekiwanym i ciężkim zawodem:

— Na pytanie — odpowiem ci pytaniem: Czyżbyś mogła odejść odemnie nazawsze?

— Masz jeszcze dzieci — masz inne ukochania, ojczulku, a Chrystus tak bardzo potrzebuje serc oddanych mu bezgranicznie.

— Tak. Ale pamiętaj, że jesteś dla mnie najdroższem wspomnieniem twej matki. Żyłem lat tyle z myślą, że kiedyś ujrzę cię szczęśliwą, kochaną, we własnym domu, wpajającą nasze cnoty rodowe w swe dzieci. Marzyłem, że będę jeszcze kołysał wnuków, rosnących w moich oczach na tęgich pracowników dla naszego kraju. Marynko! — tu głos pana Łukasza załamał się w głębokiem wzruszeniu — czyżbyś chciała pozbawić mnie upragnionego celu mego

życia? Nie zadasz mi tak okrutnego ciosu? Nieprawdaż, córeczko?!

Dziewczyna pochyliła się z tkliwością do ręki ojca:

— Będę ci posłuszną, Ojcze kochany. Nie wiedziałam, że moje powołanie do stanu zakonnego przejmie cię taką boleścią. Zostanę przy tobie tak długo, jak tylko tego zażądasz.

Niepewny jeszcze ostatecznej decyzji córki w sprawie tak doniosłej, pan Łukasz postanowił rozciąć ten zagmatwany węzeł radykalnym sposobem i wprowadził dziewczynę w świat. Wdzięczna uroda panny Marynki, a nadewszystko jej pogodny nastrój i żywość zjednywały jej rój wielbicieli. Nie brakowało między nimi i starających się o serce i rękę młodziutkiej bohaterki, ale wszystkie poważniejsze zamiary umiała ona odeprzeć zachowaniem, pełnem stanowczego, lubo uprzejmego oporu. Już pan Łukasz zaczynał tracić nadzieję, aby swym wpływem mógł pokonać wolę córki, gdy niespodziewane poznanie pana Pawła Jareckiego zmieniło najzupełniej przekonania i bieg życia panny Marynki. Miłość ziemska — mocna jak śmierć, upajająca jak mocne wino — wdarła się gwałtownie do serca dziewczęcia, znającego dotychczas li tylko płomień mistycznych uniesień. Miłość — odwzajemniona i potężna, jak wezbrana rzeka, porwała ją w swe nurty, dając jej poznać najwyższą słodycz i najwyższy ból w życiu.

Ślub panny Marynki z panem Pawłem Jareckim odbył się w lipcu, gdy natura złoci wszystko wokoło czarem przepysznej dojrzałości. Wracającą z kościoła młodą parę witały radośnie nieżżęte jeszcze miejscami zboża, uginając się przed nią z chrzęstem i falowaniem dorodnych kłosów. Jaśniało i szumiało wonne lato, sypiąc darami bez miary — słońce smaliło rozognioną paszczą, aż owoce po sadach pałały jaskrawym rumieńcem — snopy i kopy leżały tam i sam ławą — ziemia gięła się pod plonami. Przebogatą więź rzuciło hojnie upojne lato i wśród tego rozrzuconego po ziemi polskiej przepychu natury jechali państwo młodzi po rodzinnej uczcie w Bielawinie do własnego domu, w przyległym powiecie. Samochód, wiozący ich, pożerał przestrzeń, zwijając zdawało się gdzieś, we wnętrzu wyciągniętą przed sobą wstęgę białej równiutkiej szosy, a oni — przytuleni do siebie tonęli w radosnem upojeniu ziszczonych marzeń. Po paru godzinach tego przyziemnego, szalonego pędu przez pola, wsie i miasteczka małopolskiej ziemi, pan Paweł wyciągnął rękę, wskazując żonie nową osadę w oddali:

— To Biały Dwór! Tam — jest nasz dom, Marynko!

Panorama rozwinęła się nagle z czarodziejską zmiennością — mignęły po obu stronach jadących wysokie, porządne chaty, zakołysały się w przelocie rosnące przy nich owocowe drzewa i stojący na wzgórzu biały dom pod perłowoszarym dachem zdał się podobnym do srebrzysto-białego gołębia, który przypadł do ziemi nad błękitniejącym u stóp jego stawem. Słońce sypało złotawy pył w tę rozwartą i nieruchomą błękitną źrenicę, czyniąc z niej niby powierzchnię drogocennego kamienia, pałającą tysiącznemi blaski. Niezliczone ilości różnobarwnego kwiecia okalały dwór, jak wzorzyste kobierce, śląc dokoła czarowne wonności.

Samochód objechał klomb, wysadzany stróżującemi tu już oddawna śmigłemi topolami i stanął przed domem. Służba i gospodarze wiejscy zgromadzili się na ganku, chlebem i solą witając przybyłych. Pan Paweł wyskoczył z pojazdu i podał rękę żonie:

— To wasza opiekunka i przyjaciółka najlepsza — rzekł do zebranych. — Kochajcie ją i sercem płaćcie za serce z jakiem tu do nas przychodzi!

I znowu — szły lata, w pracy i harmonji niezmiernej. I wszystko wokoło zdawało się tchnąć tą samą szczęśliwością przedziwną: nie słychać było nigdy swarów i nieporozumień wśród służby — nie istniały zatargi z wsią i nikt nie podnosił gniewnie głosu w tym białym, cichym domu. Bezmiar osiągniętego szczęścia promieniał z serc tych dwojga niezwykłych ludzi i ucieleśniał się w czynach, niosących dobro całemu ich otoczeniu. Niekiedy tylko chmura zadumy przesuwała się po twarzy pana Pawła i smutek wyzierał mu z oczu.

— Co ci się stało, Pawełku? — wołała wesoło żona. — Znowu, jak widzę, trapią cię te brzydkie myśli?

Pan Paweł wpatrywał się w śliczną postać młodej kobiety, jakgdyby pragnął ją uwypuklić nazawsze w swoim umyśle.

— Zanadto jesteśmy szczęśliwi, Marynko! Jest w tem coś nieziemskiego i długo to trwać nie może. Mam ciągle wrażenie, iż każda chwila

takiej błogości darowana nam tylko przez czający się gdzieś w oddali — zły los.

— Milcz, milcz, niedobry! I poco dajesz się opanowywać przez jakieś nieznośne przywidzenia? Czyż nie spłacamy z najlepszą wolą długu, zaciągniętego wobec Boga? A nowa szkoła zamiast dawnej, spróchniałej staruszki? A ochronka? A szpitalik dziecięcy? Oddajesz wszystko, co tylko możesz dla podniesienia kultury tej wsi. Doprawdy — mam coraz bardziej wrażenie, że my tu jesteśmy szafarzami tych dóbr, a nie właścicielami. I wedle słów Chrystusa tak być na ziemi powinno. Więc czegóż się tak lękasz, mój złoty? Precz, precz z tą marą jakiejś urojonej niedoli! Jedźmy lepiej w pole. Kopią buraki — trzeba rachować miernice i jutro wysłać do fabryki.

I żywa jak ognik pani Marynka rozpraszała te rzadkie chwile smutnego przeczucia, nękające myśli jej męża.

W zimie wyjeżdżali niekiedy na odpoczynek kędyś dajeko, w słoneczne kraje. Szli obok siebie po ulicach obcego miasta, a uczucie palące się w ich sercach jednako równym i mocnym płomieniem, opromieniało tych dwoje nieznanych cudzoziemców takim odblaskiem nieziemskiego szczęścia, iż nieraz, to ten, to ów z mijanych przechodniów stawał na chodniku, patrząc za nimi w ślad:

— Kim są ci ludzie? — pytał sam siebie. — Narzeczeni? Czy też małżeństwo?! W każdym razie — to jakaś cudna idylla!

Przeszło pięć lat. Nastała wiosna, rozhukana i radosna, w zieleń strojna tak szeroko, że aż w szmaragdy się świat zamienił. W ziemię wrywały się brony, bociany krajały błękity skrzydłami i kwiaty jabłoni otrząsały płatki, jak mgły, gdy pan Paweł podjechał pod ganek dworu i zeskoczył pośpiesznie z wierzchowca; wołając do żony — która już wypadła na jego spotkanie:

— Jakaś zjadliwa mucha mię ukąsiła. Może masz, Maryneczko, amonjak, albo wodę kolońską? Spójrz! Palec mi spuchł!

Pod wieczór było znacznie gorzej i puchlina posuwała się wyżej, do ramienia.

— Jedziemy do miasta — zadecydowała energicznie pani Marynka. — Niech to zobaczą i osądzą najlepsi lekarze. Poco mamy nadaremnie się niepokoić?

— Może trzeba będzie uciąć rękę? — rzekł mąż z rezygnacją — Ale to niewielkie nieszczęście. I tak — jako kalekę nawet — będziesz mnie zawsze kochała!

— Tem więcej i tem goręcej, Pawełku! — wykrzyknęła z ogniem pani Marynka.

Lekarz we Lwowie, dawny kolega szkolny Pawła Jareckiego obejrzał puchlinę i pokiwał głową: Wracaj, Pawle, do hotelu, połóż się zaraz i czekaj na mnie. Lecę w tej chwili po kilku znakomitych djagnostów. Zrobimy konsyljum popołudniu. Wierz mi — dałbym sam kilka lat życia, aby cię wyratować!

Paweł słuchał tego wyroku w milczeniu. Cios był zbyt silny, aby mógł wywołać słowa. Przewałęsał się jeszcze z dobrą godzinę po Parku Stryjskim, czując najzupełniejszą pewność, iż jest nieodwołalnie straconym. Chciał tylko opanować się do tego stopnia, aby do ostatniej chwili swego życia odsunąć od najdroższej istoty ból okrutnego rozstania. Wszedł do pokoju spokojny i uśmiechnięty. Pani Marynka rzuciła mu się na szyję;

— Tak długo ciebie nie było, niepoczciwy latawcze! Już zaczynałam być nieposkojną. Cóż powiedział doktór?

— Zejdzie się tu kilku na naradę, bo on sam nie chce brać operacji na swoją odpowiedzialność. A może i bez tego się obejdzie. Zobaczymy.

Przyszli medycy — obejrzeli puchlinę, która już zajęła większą przestrzeń, wymknęli się niby na naradę do drugiego pokoju, a stamtąd chyłkiem, unikając błagalnych spojrzeń i pytań pani Marynki, wyszli na ulicę.

— Szkoda człowieka — rzekł posępnie znany chirurg.

Lekarz, kolega szkolny, załamał ręce z prawdziwą boleścią:

— A ona?! Ona?! Jak zniesie ten cios?! Doprawdy, rozum ludzki targa się bezsilnie wobec bezmyślności takiego ślepego trafu! Jad, przeniesiony przez muchę z padliny, niweczy to niezwykłe pożycie, zabija najszlachetniejszego z ludzi! A my — musimy przyglądać się temu bezradnie!

— Wezwijcie przynajmniej rodzinę — doradził profesor Klink. Niech ta nieszczęsna kobieta nie będzie samotna w pierwszych chwilach po katastrofie, łamiącej jej życie.

Gdy pan Łukasz i pani Jarecka, zaalarmowani krótką depeszą, przybyli do Lwowa i we-

szli do pokoju chorego. Paweł namówił po jakimś czasie żonę, aby poszła wypocząć po nieprzespanej nocy, a sam ujął tych najbliższych za ręce:

— Nie zostawiajcie jej samej! Zaklinam was! Może się targnąć na własne życie! Jak ona śmierć moją zniesie?! Nie domyśla się nawet, że kończy się już nasza cudowna idylla... Biedactwo najmilsze... Nie żal mi siebie, tylko o nią się troszczę. Nie zdzierajmy do czasu zasłony z tych ukochanych ocząt!

Mylili się wszyscy, sądząc, że pani Marynka nie t a i w sobie najlżejszej obawy co do stanu chorego. Przeciwnie — od pierwszej chwili złe jakieś przeczucie szarpało jej duszę, która zmieniła się w pochodnię wiary, wołającej o cud do Stwórcy. W nocy, pielęgnując tego droższego nad wszystko męża, schylona kornie na klęczkach przy jego łóżku, błagała Boga o przebaczenie, że nie poświęciła się Jemu wyłącznie, że przełożyła ziemskie rozkosze nad miłość dla Oblubieńca w Niebiosach.

— Nie karz mię, Panie — szeptała żarliwie — żem zawróciła z drogi, wiodącej niemylnie do wiecznego zbawienia. I w świecie można żyć jak wybrani, a im więcej pokus, tem większa zasługa!

Minęło parę dni ciężkich i wlokących się z ponurą jednostajnością. Po nocy, spędzonej dość spokojnie, pan Paweł zwrócił swój wzrok ku żonie i uśmiechnął się do niej z bezgraniczną miłością.

— Lepiej ci, Pawełku? — spytała z niedowierzającą jeszcze radością.

— Lepiej... o wiele lepiej... — szepnął powoli.

Pani Marynka uklękła tuż koło głowy ubóstwianego człowieka. A więc cud się stał — prysły w szalonym pośpiechu obawy i niepokoje o to bezcenne dla niej życie i dawne szczęście, przenikające jak djamentowe blaski, stanie się znowu udziałem ich losu Hymn radości, splatającej się z wyolbrzymiałą wdzięcznością dla Boga płynął z ust pani Marynki w bezbrzeżnie dziękczynnym szepcie.

Nagle — pan Paweł poruszył się niespokojnie i z wysiłkiem podniósł na łóżku. Chciał wstać... upadł z powrotem na poduszki:

— Tak mi jakoś niedobrze — Marynko.

Porwała się z klęczek:

— Pobiegnę do telefonu! Sprowadzę natychmiast lekarza!

Kiedy powróciła do męża, zastała go leżącego bez ruchu, z przymkniętemi oczyma.

Przypadła do jego piersi, obłąkanym wzrokiem wpatrywała się w ukochane rysy — zarzuciła ręce na szyję, z coraz to mocniej rosnącym szałem rozpaczy, wyczekując oddechu tej kostniejącej już piersi... lub słowa, ze stygnących na wieki, ust. Jak ptak, wyjęty z gniazda, duch zmarłego szybował po nieznanych drogach, pozostawiszy swą doczesną powłokę w ramionach ukochanej towarzyszki życia.

Marja Dunin-Kozicka.

„M A R Y J K A“

11) **Powieść dla dorastających panien.**

Pierwsze wrażenie było jednak miłe. Zajechały przed dom już o zachodzie słońca. Na ganku powitał je duży, tęgi mężczyzna serdecznem: — Witajcie, witajcie!

— Mój mąż — rzekła pani Zofja.

— Bogu dzięki, żeś już wróciła moja Zocho — powtarzał gruby szlachcic — wycałowując twarz i ręce żony. Już od wczoraj miejsca sobie znaleźć nie mogłem.

Maryjkę powitał głośnem ucałowaniem ręki, dziękując, że zgodziła się dzielić ich samotność i uczyć rozumu te dwie sroczki.

Małe sroczki, jak je ojciec nazywał, wieszały się u szyi matki, ściskając ją z całych sił, pytały co też ona im przywiozła z Wilna.

— Słyszy pani, zaśmiał się tubalnie p. Szyryn, co to za interesowne istoty, byle matkę zobaczyły, zaraz dawajże prezent. A ot, dodał wskazując na Maryjkę, prezent mamci. Wasza pani nauczycielka, jak jej słuchać nie będziecie, to panie tego, ma dyscyplinę w kuferku, niezawodny środek na leniuchów.

— O! zawołała Maryjka, niechże tak pan moich uczennic nie straszy, żadnej dyscypliny nie mam, bez tego my się tu obejdziemy.

Wejście Józia z dużym, pięknym białym wy-

żłem przerwało rozmowę. Chłopak witał się z matką, a Czuwaj zwrócił się z uprzejmością do Maryjki i podał jej łapę.

— O! zawołały dziewczynki, będzie pani miała przyjaciela, Czuwaj rzadko komu łapę dobrowolnie podaje.

— Pani musi być bardzo znużona, rzekła pani domu, Helu i Jadziu, zaprowadźcie panią do jej pokoju, za chwilę będzie herbata i kolacja.

Obie dziewczynki chwyciły Maryjkę za ręce i szczebiocząc wesoło, poprowadziły w głąb domu.

Przechodząc przez długi szereg pokoi, młoda nauczycielka widziała wszędzie wielką czystość, ład i komfort. Dom był stary, szlachecki, dawna siedziba kresowa.

Pokój przeznaczony dla niej był jasny, duży i urządzony wygodnie. Część jedna pokoju przeznaczona była na jej wyłączny użytek, druga na uczelnię, był tu bowiem odpowiedni stół, wygodne krzesła przy nim. Obok pulpit dla nauczycielki, półka z książkami.

Z okna widać było jasną wstęgę Dźwiny.

— Dobrze nam tu będzie, prawda? zwróciła się Maryjka do dziewczynek, będziecie mnie trochę lubiły.

W odpowiedzi zarzuciły jej rączyny na szyję wołając — My już kochamy Panią i to mocno, mocno.

Życie potoczyło się zwykłym torem. Państwo Szyrynowie pracowali oboje bardzo wytrwale. Majątek był duży. Pani miała do pomocy ochmistrzynię, czuwała jednak sama nad całem gospodarstwem domowem. Umiala być wszędzie, w każdym kątku, a że się znała na gospodarstwie domowem, więc zarządzała wszystkiem doskonale i nic oka jej nie uszło. Energiczna i pracowita, miała tę wielką zaletę, że nigdy nie krzyczała, nie hałasowała na służbę, nie gderała od rana do wieczoru, ale wymagania jej spełniane były bez szemrania. Pani umiała naganę dać jednem spojrzeniem, pochwalić serdecznym uśmiechem. Zresztą wszystkie Hanki i Wiśki wiedziały dobrze, że pani dziedziczka umie każdą ich robotę zrobić sama i najbardziej się tego wstydziły, gdy ona, biorąc od której z nich miotłę, pokazywała jak należy wygarniać śmiecie z kątów, lub jak karmić trzodę chlewną.

Przeciwieństwem pani Zofji był pan Seweryn. Pracował również wytrwale i umiejętnie jak żona, ale nic cicho robić nie umiał. Krzyczał i hałasował od rana do nocy. Tak na folwarku jak w polu, lub w lesie rozlegał się jego tubalny głos. Serce miał jednak złote i ci którym wymyślał, wiedzieli, że w każdej chwili pośpieszy im z radą i pomocą.

— Nasz pan niezgorszy, mówił fornal Piotr, który od dwudziestu lat był w Powienuszce, tylko aby strzymać jak się rozsierdzi.

Józia, jedynaka pp Szyrynów, znała już Maryjka z opowiadań matki. Poznała go bliżej, gdyż był i on trochę jej uczniem, dawała mu bowiem lekcje języka polskiego i niemieckiego. Nie należał on do łatwych uczniów, gdyż zupełnie nie rozumiał systematycznej pracy. Nauczyciela swego, pana Hurowicza, nie bardzo słuchał, płatał mu figle na każdym kroku i jak mógł wywijał się od lekcji. Biedny słuchacz filozofji, usunięty na dwa lata z uniwersytetu petersburskiego podczas zaburzeń, jakie tam miały miejsce, istną martyrologję przechodził ze swym wychowańcem. Próżno wysilał całą swą wymowę by ujarzmić rozhukanego chłopca i zmusić go do uważnego słuchania wykładu i spokojnego odrobienia lekcji. Józio znał na wylot wszelkie słabe strony nauczyciela i wyzyskiwał je niemiłosiernie. Wiedział np. że p. Ignacy ma bardzo krótki wzrok i bez binokli nie widzi o trzy kroki, przy każdej więc sposobności starał się ściągnąć szkła, które tamten podczas wykładu kładł na stole. Poczem kreślił na tablicy, co mu w danej chwili przyszło na myśl. Nauczyciel, chcąc zobaczyć czy uczeń dokładnie zrobił zadanie, sięgał po szkła i znaleźć ich nie mógł, zaczynało się gwałtowne poszukiwanie, w którem naturalnie Józio brał wielki udział. Binokle wpadly jak w wodę i dopiero przy dzwonku obiadowym znajdowały się uczepione cudownym sposobem, albo do ubrania nauczyciela, albo na jego pulpicie, lub w stoliku. I biedny p. Ignacy pojąć nie mógł jakim sposobem one się odnalazły. Innym razem uczeń z minką niewinną zadawał swemu wychowawcy szereg zawiłych pytań a zanim tamten na wszystko mu dokładnie odpowiedział, już minęła godzina lekcji.

— Nie rozumiem doprawdy, mówił nieraz Józio, poco mam się uczyć tylu rzeczy, skoro ja ani doktorem, ani adwokatem nie będę nigdy. Chcę być rolnikiem jak ojciec i basta. Do gospodarstwa i roli wcale łacina nie jest potrzebną.

— Ale ojciec twój ukończył Akademję rolniczą w Moskwie, perswadował nauczyciel.

— Tak, to prawda, odpowiadał spokojnie uczeń, ale pan Michał z Dziewiętni, ani jednej klasy nie skończył, a tatuś mówi, że się u niego można uczyć gospodarstwa. A widzi pan, a p. Roman, to trzy uniwersytety skończył i co z tego, majątek cały stracił.

Przy pierwszej lekcji niemieckiego, Józio próbował swej metody; wiedząc, że Maryjka lubi psy, a zwłaszcza Czuwaja, przyszedł z nim.

— Proszę cię Józiu, rzekła nauczycielka, wyprowadź psa.

Powiedziała to bardzo spokojnie, ale tak stanowczo, że chłopak nie odważył się sprzeciwiać. Psa wyprowadził za drzwi, spróbował jednak rozpocząć opowiadanie o nadzwyczajnej zmyślności Czuwaja.

— Bardzo dobrze, rzekła Maryjka, chętnie tego posłucham, przedtem jednak odrobimy lekcję.

Po kwadransie pilnej pracy, rzekła po niemiecku: a teraz opowiedz mi o Czuwaju. Józio mówił już trochę po niemiecku, uszczęśliwiony, że będzie opowiadał o swym ulubieńcu, dał się wciągnąć do konwersacji niemieckiej i lekcja minęła przyjemnie dla obu stron.

Próbował jeszcze nieraz wykręcić się sianem, jak mówił, od tej szwabskiej nauki, ale zawsze go uprzedziła nauczycielka i bezwiednie poddawał się jej wpływowi.

Lekcje języka polskiego szły bez zarzutu. Uderzyła bowiem Maryjka w uk'ytą strunę duszy chłopca, opowiadając mu o tem co się dzieje w Wilnie, o prześladowaniach języka polskiego, usuwaniu uczniów z gimnazjów za rozmowę polską.

— Jeśli oni tak mowę naszą prześladują, rzekł pewnego dnia chłopak, to ja sobie postanowiłem, że z nimi będę walczył. Naprzód przy pani muszę dużo skorzystać, a potem w szkole będę kolegom mówił, że naszym obowiązkiem jest znać dokładnie język polski.

I rzeczywiście uczył się pilnie, a że był bardzo zdolny, więc nauka przychodziła mu z łatwością. Po paru tygodniach pobytu Maryjki w Powienuszce, binokle pana Ignacego przestały, jak mówił Józio, cudownie ginąć podczas lekcji. Znalazły się bowiem na sznurku, zawieszonym u szyji profesora. Pokręcił głową Józio, zobaczywszy je tak zabezpieczone od jego figli, ale nic nie rzekł.

Obaj właściwie i profesor i uczeń, byli pod urokiem nauczycielki. Maryjka była wesołą, lubiła dzieci i miała duże zdolności pedagogiczne. Zawód swój miłowała podwójnie; raz jako możność szerzenia oświaty, a powtóre jako najłatwiejszy czynnik uświadomiania narodowego. Sporo więc czasu poza nauką spędzała z dziećmi, których duszyczki pod jej wpływem budziły się do nowego życia jak kwiaty pod dobroczynnym wpływem wiosny.

Józio zwłaszcza lgnął do swej nauczycielki i zdarzało się nieraz, że wolał iść z nią i z siostrami na przechadzkę, niż jechać w pole z ojcem.

Pan Hurowicz patrzał z zachwytem na złotowłosą wieszczkę, tak bowiem w duchu i swych poezjach, pisywanych nocami, zwał Maryjkę, której dobroć i piękność ujarzmiały nawet złośliwego „Chochlika“, żałował tylko w duchu jednej rzeczy, że ta wieszczka zanadto jednostronną jest. W sercu jej panuje tylko wszechwładnie Ziemia Rodzinna, a onby chciał, by tam był: Wszechświat.

Nie śmiał jednak ani zbyt natarczywie przekonywać, ani pouczać. Wiedział, że był brzydkim że w chwilach podniecenia, gdy coś usilnie dowodził, koniec jego długiego nosa robił się fioletowym i, jak mówił mu Józio, a poprzednio i koledzy nieraz, ruszał się lekko, jakby potakując słowom swego właściciela.

Próbował podsuwać tylko czasem książki, ale Maryjka po rosyjsku nie umiała na tyle, by móc czytać dzieło ściśle naukowe. Przywiozła trochę poważniejszych dzieł polskich z zakresu pedagogiki i nauk społecznych i nad temi spędzała wolne chwile. W Powienuszce też w bibljotece było sporo dzieł historycznych i z literatury pięknej, które ona z kolei polecała mu poznać, by jak mówiła, pokochał to, co miłości najwyższej jest godnem. Był więc biedny filozof na rozdrożu zupełnem.

Przybyła też wkrótce Maryjce nowa praca. Kopano już kartofle, których Powienuszka miała całe łany, gdyż była tu gorzelnia, a w drugim majątku krochmalnia. Po lekcjach zazwyczaj chodzono lub jeżdzono kucami w pole, p. Ignacy w wolnych chwilach od nauki pomagał p. Szyrynowi, dozorując robotników. Józio wiercił się wszędzie, czasem woził siostry i Maryjkę, czasem też był przy ojcu. Nieraz też z dziećmi służby folwarcznej rozniecał na polu ogień

i piekł kartofle dla robotników. Na tę ucztę zapraszał zawsze nauczycielkę i siostry.

Pewnego dnia, siedząc na pieńku przy takiem ognisku, Maryjka spytała kręcące się tam dzieciaki, czy chodzą one do jakiej szkoły.

Spojrzały na nią ze zdumieniem.

— Nijakiej szkoły tutki niemasz, odrzekło najstarsze z gromadki.

— A chciałybyście się uczyć?

— Tak i cóż, że jaby chciała, odpowiedziała, jeśli niema komu uczyć; tatki tak troche umiejom na ksionżce, a mama i my nic.

Maryjka tegoż wieczoru opowiedziała tę rozmowę p. Ignacemu.

— A no, rzekł, widzi pani, że mam rację. Panowie szlachta nic, tylko majątki robią, żywią się pracą ubogiego ludu, a o oświacie dla niego nie pomyślą. Szkoły nawet dla dziatwy nie założą.

Maryjka zauważyła, że prawdopodobnie na otworzenie polskiej szkoły nie pozwoliłby rząd.

— To niech otworzą rosyjską, zawołał filozof. Czy w tym, czy w innym języku, oświatę szerzyć należy.

Ona jednak na to się nie godziła. Ludność wiejska w Powienuszce była katolicką, nazywali siebie „tutejszemi" i starali się mówić po polsku, a dwór miałby ich rusyfikować.

Posprzeczali się i p. Ignacy bez kolacji poszedł do siebie, a Maryjka postanowiła przy najbliższej sposobności pomówić z panią Zofją.

Właśnie nazajutrz była niedziela. Pani Zofja korzystając z wolnej chwili zajrzała do pokoju nauczycielki.

Maryjka, nie zwlekając, poruszyła sprawę otworzenia szkoły w Powienuszce

Pani Zofja aż w ręce uderzyła.

— Nieraz już o tem i sama myślałam, rzekła. Przyznam się pani kochanej, że wstyd mi poprostu, że o swoje dzieci dbam, że pragnę dla nich nauki i uczę je, a te wiejskie biedaki nawet nie wiedzą gdzie dobro a gdzie zło. Ależ co tu począć? Wszak otworzenie szkoły polskiej, to więzienie dla mnie, dla męża. Czyż mogę go na to narażać?

(C. d. n.). *Marja Reuttówna.*

W POCIĄGU.

Zimno, duszno było w wagonie, do którego tłoczyło się coraz więcej ludzi, odzianych w kożuchy, z głowami w szale pozawijanemi lub ukrytemi w wielkich baranich czapach.

Potrącali się, z miejsc spychali, klęli a opary wódki coraz więcej odczuwać się dawały.

W takiem towarzystwie, wciśnięta w kącik ławki, siedziała 7-letnia dziewczynka, tuląc do siebie o dwa lata młodszego braciszka. Sie dzieli cichutko. Oczy dziewczynki szeroko otwarte wyrażały przerażenie, graniczące z obłędem...

Przez otwarte drzwi wciskało się lodowate zimno. To też dziewczynka zdjęła chustkę z główki i okryła nią braciszka. Długo jeszcze, bardzo długo stali tak na stacji granicznej, ale już w Polsce... Już pierwsze zorze poranne dobroczynne swe blaski rzucały na biedną ziemię, już ten i ów wyspawszy się, ziewać zaczął głośno i szeroko, a pociąg stał — a dziewczynka marzła coraz więcej — a jej braciszek spał.

Wreszcie ruch się zrobił. Coraz więcej ludzi budzić się zaczęło i mały Jerzyk się zbudził Odrzucił chustkę siostrzyczki z twarzy i szepnął cichutko: „Jeść, Jadziu".

Dziewczynka drgnęła i równie cichutko odpowiedziała: „Zmów paciorek, zaraz będzie chlebuś". Jerzyk przeżegnał się, cicho i jakby skrycie, by go nikt nie zobaczył i zmówił krótki pacierz. Potem otrzymał kromkę bardzo twardego chleba, który gryzł z apetytem tak wielkim, że wyglądało to na głód. Zaspokoiwszy go, zwrócił się do siostrzyczki z zapytaniem: „Czemu sama nie jesz?" na co otrzymał spokojną odpowiedź: „Nie zmówiłam dotąd pacierza".

Ale jakoś długo nie kończyła tego pacierza, bo nie brała się do jedzenia. Chłopczyk zaczął jeść coraz wolniej i wolniej, wreszcie przestał zupełnie.

— Dlaczego nie kończysz śniadania — Jerzyku?

— Bo czekam — aż ty skończysz pacierz.

— Dobrze, dobrze — pośpiesznie odpowie-

działa Jadzia, może się jeszcze prześpisz i pocałowała ukradkiem braciszka.

— Dlaczegoś taka zimna — zawołał nagle. Weź chustkę!

— Mnie ciepło — odpowiedziała Jadzia.

Lecz braciszek nalegał i musiała otulić się chustką.

— Może teraz zmówisz paciorek — szepnął Jerzyk.

Wtem drgęło wszystko; dzieci o mało nie spadły z ławki — pociąg ruszył ku ogólnej radości.

Jadziunia znowu szepnęła braciszkowi:

— Pomódl się — żebyśmy raz dojechali do tej Warszawy.

Przytuleni do siebie, ukołysani równem drganiem wagonu usnęli. A właściwie spała Jadzia po całonocnem czuwaniu, głodzie i zziębnięciu, wyczerpana obawą i troską o siebie i braciszka.

Jerzyk zaczął się rozglądać nieśmiało i przypatrywać jadącym. Od jednych z dziecięcym instynktem prędko odwracał główkę, na innych wzrok zatrzymywał. Najdłużej patrzał na swego sąsiada, który tak jakoś siedział, że Jerzyk prawie cały znalazł się otulony jego kożuchem. Chciał się usunąć, lecz ów człowiek szepnął:

— Nie ruszaj się — obudzisz siostrzyczkę.

Jerzyk znieruchomiał, lecz za chwilę podniósł znowu główkę ku swemu sąsiadowi, który nieznacznie wsunął mu kawałek chleba do rączki.

— Jadłem — przemówił Jerzyk cicho. Ona nic nie jadła — schowam dla niej. Dziękuję.

— Dobrze — brzmiała równie cicho odpowiedź, bo wielu podróżnych spało znowu.

Wtem wszedł konduktor i zażądał biletów. Trzeba było Jadzię obudzić, bo ona schowała bilety.

Dziewczynka z przerażeniem zerwała się, znowu strach malował się w jej oczach, szeroko otwartych. Spojrzała na Jerzyka z bojaźnią, lecz ujrzała spokój na jego twarzyczce, widziała też inny kawałek chleba w jego rączce, niż ten, który mu sama dała. Jerzyk pociągnął ją za rękaw i szepnął, pokazując na sąsiada:

— On dobry, dał, to dla ciebie na śniadanie, jedz, zaraz jedz.

Dziewczynka z wdzięcznością spojrzała na mężczyznę. Odrazu też widziała, że Jerzykowi jest ciepło i oczka jej wielkie zmieniały powoli wyraz grozy, powoli, powoli spokój w nich się malował, wreszcie usiadła cichutko i modliła się. Nim konduktor do niej się zwrócił z zapytaniem o bilety, już je miała przygotowane w rączce

Na zapytanie konduktora — Dokąd jadą — odpowiedziała:

— Do Warszawy.

— Z kim jedziecie? — rzucił urzędnik.

— Same — brzmiała odpowiedź.

— A do kogo?

— Nie mamy nikogo.

— Gdzież rodzice?

— Tam — załkała dziewczynka.

— Któż was tu przyprowadził? — indagował dalej konduktor.

— Jakiś pan nieznajomy — odpowiedziała pośpiesznie.

— I ty opiekować się będziesz braciszkiem?

— Ja i rodzice — brzmiała cicha i spokojna odpowiedź dziewczynki.

— Gdzież oni? — z niecierpliwością w głosie pytał urzędnik.

— W niebie — odpowiedzieli razem rodzeństwo.

Zamilkł, łza ukazała się w oku mężczyzny. Głowy obecnych zwracać się zaczęły w stronę mówiących.

— Cóż z niemi będzie? — rzucił pytanie konduktor.

Zaczęto radzić, ten i ów podał kawałek chleba, to sera, nawet i wódka znalazła się w pobliżu, ale decyzji w sprawie przyszłości dzieci nikt nie wypowiedział.

Wreszcie mężczyzna, który swym kożuchem okrył Jerzyka odezwał się głucho:

— Moje dzieci też — tam — zostały — i wskazał na wschód, jak przed chwilą dzieci, gdy je pytano o ich rodziców.

Po chwili dodał ciszej, zwracając się do dzieci:

— I moje dzieci są w niebie, razem z waszemi rodzicami, to i my tu na ziemi bądźmy razem.

Za chwilę Jadzia jakoś gwałtownie starała się rozwiązać swój maleńki węzełek, wreszcie wydobyła z niego różaniec i podając go nowemu opiekunowi rzekła przez łzy:

— Gdy mamusię i tatusia brali, dała mi mamusia ten różańczyk i kazała go dać temu, kto się nami zaopiekuje — proszę.

Na małej rączce leżał koralowy różańczyk z medalikiem Matki Boskiej Częstochowskiej

Człowiek wzdrygnął się, lecz gdy Jadzia rączki nie cofała tylko błagalnie patrzała mu w oczy i Jerzyk mały zawołał:

— Weź, weź, tyś dobry, zmagał się ze sobą jeszcze chwilkę, potem stał się bardzo uroczystym, jakgdyby się przygotowywał do ważnego aktu życia...

Westchnął głęboko, jak gdyby zmorę jaką z piersi chciał spędzić i uklęknąwszy zawołał:

— Nie byłem dobry — ale odtąd będę.

Wziął różaniec w swe dłonie, ostrożnie, ostrożnie ucałował medalik, z miłością spojrzał i wdzięcznością na dzieci, poczem i je ucałował i usiadł pomiędzy niemi na ławce.

Sierotki znalazły opiekuna i ze spokojem ufnym przytuliły się do niego. *M. Sl.*

ZE ŚWIATA.

Niepokoje na Wschodzie. W ostatnich czasach wybuchł ostry konflikt między Rosją, Chinami i Japonją. Mandżurja stoi tylko nominalnie pod zwierzchnictwem obecnego prezydenta Chin Tuan Czi Dzuia, a w rzeczywistości znajduje się w ręku Czang Tso Lina, który z bandyty stał się generałem i dyktatorem Mandżurji. Konflikt wybuchł na tle kolei wschodnio-Chińskiej. Czang Tso Lin nie uznał traktatu zawartego pomiędzy Chinami a sowietami, który to traktat oddaje Rosji zarząd kolei wschodnio-Chińskiej i zagarnął tę najważniejszą arterję komunikacyjną Mandżurji. Japonja sprzyja Czang Tso Linowi i sowiety znajdują się w trudnem położeniu.

Zatarg włosko-niemiecki. Stosunki między Włochami a Niemcami coraz bardziej się zaostrzają. Mussolini pragnie zbliżyć się do Francji i do Anglji co krzyżuje wszystkie rachuby niemieckie. Dzienniki niemieckie i austrjackie zasypane są wieściami z Tyrolu południowego, gdzie rząd Mussoliniego, zmienia nazwy miejscowości, zakazuje używania języka niemieckiego w szkołach i urzędach, jednem słowem stosuje na niemcach te metody, które oni stosowali w poznańskiem.

O miejsce w Lidze narodów. „Daily Telegraph“ pisze: Jeśli nie uda się Polsce samej przyznać stałego miejsca w Radzie Ligi Narodów, to Francja będzie się starała przeforsować miejsce takie dla Brazylji i Hiszpanji. Anglja spogląda na te próby z wielkim niepokojem, bo w takim razie Francja zapewniłaby sobie łącznie z państwami łacińskiemi, jak również z Polską i Czechosłowacją absolutną większość w Radzie Ligi Narodów.

Mussolini przeciwko tańcom. Mussolini wydał rozkaz prefektom miast zamknięcia wszystkich sal tańca. W ciągu 8 dni zamknięto 1000 sal tańca. Jedynie wieczorki domowe są tolerowane, pod pod warunkiem, że tancerze i tancerki ukończyli 16 rok życia i że rodzice będą towarzyszyć.

Rewolucja w Syrji. Z Damaszku donoszą, że ruch rewolucyjny się rozszerza, co potwierdzają także wypadki w Damaszku. Publiczna egzekucja 2 bandytów wywołała ze strony band zbrojnych pogrożki powieszenia trzech Europejczyków. Jeden z żołnierzy francuskich został zasztyletowany. Ludność zaczyna ujawniać rozdrażnienie z powodu przeciągających się rozruchów, przyczem Europejczycy nie są przyjaźnie widziani. Ataki na barykady powtarzają się ciągle. Francuzi dążą do utworzenia tymczasowego rządu, lecz nikt nie okazuje chęci przyjęcia na siebie tak trudnych obowiązków.

Konsekracja pierwszego biskupa Częstochowy. W Częstochowie w dniu 2 lutego na Jasnej Górze, odbyła się Konsekracja pierwszego biskupa częstochowskiego, ks. dr. Teodora Kubiny. Świątynia jasnogórska nie mogła pomieścić tłumów wiernych. Na uroczystość przybył nuncjusz papieski z Warszawy Msgr. Lauri, metropolita krakowski ks. Adam Sapieha z Krakowa, biskup kielecki Łoziński, biskup katowicki Hlond, biskup łódzki Tymieniecki i biskup poznański Łukomski, rząd reprezentował dyr. departamentu wyznań w ministerstwie oświaty, dr. Piekarski, władze miejscowe, wojewoda kielecki Manteufel, i inni. Aktu konsekracji dokonał ks. metropolita A. Sapieha przy współudziale biskupów Łozińskiego i Hlonda.

Róża Łubieńska.

* * *

Badania nad wpływem zimna na organizm ludzki prowadził Raul Pictet, chemik i fizyk, mieszkający swego czasu w Berlinie. Miał on przyrządy do oziębiania powietrza do 100°, a nawet do 110° niżej zera. Robiąc doświadczenia przekonał się, że poza 62° niżej zera nie działają przewodniki ciepła jak wełna, wata, futro i t. p. Na próbę wpuścił psa owiniętego w futro, do studni o temperaturze 100° niżej zera. Pies wydobyty po 10-ciu minutach był zupełnie zdrów, a na podaną strawę rzucił się łapczywie. Pictet postanowił też sam spróbować jaki wpływ na niego wywrze przebywamie w temperaturze 100° niżej zera. Wszedł do studni, trzymając głowę na wierzchu, by nie oddychać tak mroźnem powietrzem. Po 5 minutach doznał gwałtownego szczypania po całem ciele, wytrzymał jednak do 8 minut. Wyszedłszy ze studni‘ uczuł gwałtowny głód i spożył obfity obiad z apetytem jakiego nie miał dawno.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM.

O. G. Augustynik, Paulin na Jasnej Górze: „Miłość Boga i Ojczyzny, czyli żywot świątobliwej Polki, Wandy Malczewskiej“.

Przed laty mniej więcej 14 zwracał W. O. Jacek Woroniecki uwagę na potrzebę pisania historji Świętych polskich, w duchu nowoczesnym, t. j. na podkładzie historycznym, dającym obraz tak cnót nadprzyrodzonych, jak i skłonności naturalnych, dodatnich czy ujemnych. Taki sposób pisania



Wanda Malczewska.

uprzytomniający także słabe strony charakteru ludzi wielkich — dodaje czytelnikowi otuchy i budzi chęć naśladowania.

Takiem pełnem prawdy, a zajmującem opowiadaniem jest żywot Wandy Malczewskiej.

Polska, jako wierna córa Kościoła wielu wydała świętych, ale historja ich mało znana i u nas i u obcych. Pisząc więc życiorys Polki — świątobliwej, a tak mało znanej, przysługuje się autor nietylko chwale Boga, ale i Ojczyzny.

W a n d a M a l c z e w s k a urodziła się w Radomiu 1822 r. (Ojciec jej ekspedytor Komisji wojewódzkiej posiadał majątek Prędocinek pod Radomiem). Jako dziecko odznaczała się skromnością, delikatnością w obejściu i pracowitością. Była dobrym duchem domu, gdziekolwiek się znajdowała. Gdy matka umarła, a ojciec ożenił się po raz drugi, nastały dla niej ciężkie czasy, ale nie lubiła o tem mówić. Na cierpienia nie skarżyła się nigdy. „Chcielibyśmy wnijść do nieba — mawiała — a klucza ze sobą wziąć nie chcemy. Czemże niebo otworzymy“? — Gdy doszła do pełnoletności chciano ją wydać zamąż wbrew jej woli, gdyż ona chciała Bogu dziewictwo ofiarować. Po wielu przeciwnościach Bóg sam przemówił zsyłając śmierć na narzeczonego. Odtąd była wolną, i mogła żyć po swojemu, lecząc chorych na wsi i zajmując się oświatą ludową. Centrum jej życia stanowiła Komunja św. — Szczególnem nabożeństwem pałała do Najśw. Sakramentu. Powiedziano o niej, że w procesie beatyfikacyjnym należy jej się nazwa Wandy od Najśw. Sakramentu.

Coraz więcej skupiała się wewnętrznie i wkrótce otrzymała wiele łask nadzwyczajnych, jak widzenia i dar proroctwa. Te ostatnie tyczyły się jej rodziny i Polski. — W ostrych umartwieniach traciła siły fizyczne, lecz wzmacniała się duchowo. Umarła mając lat 74.

Obyż wspomnienie tego zasłużonego życia wzmocniło i w nas czynną miłość Boga i bliźniego.

K. B.

„Sodalis Marianus“, miesięcznik, organ sodalicyj polskich, pod redakcją Ks. St. Bednarskiego T. J. — Kraków, Kopernika 26.

Łatwo młodości wzlatać pod niebiosa, trudniej utrzymać się przy swoich ideałach wśród twardej walki o byt samodzielnego życia. O sodalisie grupującym koło siebie to właśnie starsze społeczeństwo można powiedzieć, że z roku na rok pogłębia się w swej treści właśnie w miarę materjalizowania się otaczającego nas życia, tworząc warunkom zewnętrznym coraz potężniejszą przeciwwagę.

Ale nawet nie ten wysoki ton trwania przy ideałach sodalicyjnych nadaje pismu charakter specjalny. Najbardziej pociąga ku niemu szczerość wypowiadania się tu czy to w artykułach, omawiających najbardziej aktualne kwestje z zakresu życia społecznego, religijnego i kościelnego, czy też w odpowiedziach na ciekawe kwestjonarjusze. To poważne i rzetelne dążenie do zgłębienia prawd religijnych i zaktualizowanie ich w życiu szerokie otwiera czytelnikom „Sodalisa“ pola zainteresowań, poprzez artykuły treści społecznej, etycznej, pedagogicznej, artystycznej, szukając zawsze „unum necessarium“.

S. S.

Michał Sokolnicki: „Polska w pamiętnikach Wielkiej wojny“. 1914—1918 — (Warszawa 1925, Instytut Wydawniczy Bibl. Polska).

Dorosła młodzież, interesująca się historją znajdzie w powyższym zbiorze charakterystyczne uwagi, opisy, wspomnienia odpowiedzialnych uczestników wojny, Hindenburga, Ludendorfa, Hötzendorfa i innych.

Poznajemy u źródła poglądy tych ludzi na sprawę polską i genezę aktów, prowadzących wbrew woli twórców do odbudowania Polski.

Na szczególną uwagę zasługują komentarze autora. Nie wdając się w przedwczesne spory orjen-

tacyjne, charakteryzuje treściwie i dosadnie ludzi i ich dzieła.

Marszałek von Hindenburg to człowiek „pełen poczucia obowiązku, spokojny, bezosobowy, raczej elementarna siła natury niż indywidualność“. Generałowi Ludendorfowi zarzuca brak miary — cechy ras dojrzałych. „Apetyty jego nieokiełzane przez umysł wyrosły w nim wprost odwrotnie niż u Bismarcka ponad proste prawidła rozwagi“.

Obu tych ludzi wydała polska ziemia. Hindenburg, Poznańczyk, wstrzemięźliwy w sądach umiał oddać sprawiedliwość Francji czy Polakom. „Nie żywiłem nigdy antypatji do Polaków“ — powiedział — mimo to, odczuwa się, słyszy się w odezwaniach jego na radach koronnych „że mu zbyt ciężko uważać za ludzi tych, w których go nauczono widzieć tylko naród niewolników“.

Działalność polska Pomorzanina, Ludendorfa „bezprogramowa i brutalna, zaciekła i zmienna rysuje go zdaniem Sokolnickiego „jak żadna inna“.

Oczekujemy teraz zapowiedzianego w przedmowie wypowiedzenia się samychże „zbyt skrytych i milczących Polaków“. *M. C.*

OD REDAKCJI.

Za wszystkie liściki bardzo miłe i bardzo zajmujące, pięknie dziękuję. Cieszę się, że **„Dziś i Jutro“** tyle „jasnych chwil przysparza“. Mimo szczerej chęci. nie mogę każdej z osobna odpisywać, bo to nie dla wszystkich byłoby zajmujące. Czytajcie uważnie każdy numer pisemka, to znajdziecie nieraz odpowiedź, choć nie pod Waszym podaną adresem. Jeżeli n. p. Redakcja oznajmia, że chętnie przyjmuje Wasze próby pisarskie, to odnosi się to zarówno do **Marysi G.**, do **Stasi S.**, **Malwy**, **Monity**, **Renetki** i t. d. — Nie pytajcie się więc, czy możecie prace przysyłać, lecz przysyłajcie; nie wyrażajcie „nadziei“, że utwory Wasze dostaną się do kosza, lecz piszcie tak, by powędrowały do teki. — Dobre ukażą się prędzej, czy później, na łamach pisemka, nieudanych lepiej nie przypominać, lecz na ich miejsce zastępcę przysłać. Podobnie rzecz się ma z łamigłówkami. Zabrawszy się do pisania, trzeba się ćwiczyć w cierpliwości. Ale to przecież czysty zysk! „*Cierpliwość*“ to rodzona siostra „*Wytrwałości*“, którą Czyteiniczki „Dziś i Jutro“ tak bardzo kochają i z jednych Kresów po drugie wzdłuż i wszerz ziemi naszej na wyścigi Jej słnżą.

Nie odstępuje od tych zasad **Wichura** — prawda? więc nie gniewa się, że obrazek kolędowy uznano za spóźniony — i kazano mu czekać na rok nowy, lub na zastępcę w postaci referatu o morzu.

Zdawało mi się, że pomiędzy wiersze listu **Stefy L.** wcisnęło się coś podobnego do ucieczki ze służby u Pani Cierpliwości — ale może się mylę? — Pewnie nowe, jeszcze lepsze, (ale bez ozdób) łamigłówki, przekonają mnie, że posądzałam niesłusznie.

Podolanko, nowa powiastka ładniutka, ale bardzo smutna. Musi trochę na druk poczekać. — W sprawie Kółka, radzę zwrócić się do Przełożonej Waszej szkoły. Miałam zaszczyt poznać Ją, więc mogę Cię zapewnić, że w takich kwestjach pomoże z największą ochotą i znajomością rzeczy. Za znaczki pocztowe — dzięki. Zbierajcie dalej — coraz więcej.

Reo, cieszę się, że poznałaś i polubiłaś „Dziś i Jutro“, pisuj teraz częściej.

Życzenie **Owieczki** postaramy się spełnić. — Nankę można nazwać dążeniem do poznania *Prawdy*, sztukę, dążeniem do uzmysłowienia *Piękna*.

GAWĘDY PRZYJACIELSKIE.

15. Nina do Arewax 3. Pytasz, czy można wśród szkolnej nauki zająć się także pracą społeczną? Sądzę, że można, byle tylko chcieć. — Godzinę przeznaczoną na czytanie książek, zabawę, czy spacer, można bez szkody poświęcić czasem pracy społecznej n. p. takiej, do jakiej zachęca Czerwony Krzyż, który można założyć przy każdej szkole. U nas są dwa oddziały Koła Młodzieży Polsk. Czerw. Krzyża. Fundusze czerpiemy ze składek członkowskich i ze sprzedaży robót naszych. Teraz n. p. robiłyśmy w tym celu notesy. Składamy do Zarządu ubrania i obuwie, z których wyrosłyśmy. Rozdaje się to biednym rodzinom, zasługującym na wsparcie. — W zeszłym roku przysłano nam z Głównego Zarządu Polsk. Czerw. Krzyża w Warszawie koszulki i sukienki do szycia. Poszyłyśmy je z prawdziwą przyjemnością, a 10% uszytych sukienek i bielizny zostało dla naszego Koła. Zbieramy również małe ołówki dla więźniów i zużyte papiery dla niewidomych. — Nawiązujemy też stosunki z młodzieżą japońską, posłałyśmy im nasze zbiory wakacyjne: zielniki, robótki, kartki i otrzymałyśmy od nich odpowiedź. Mamy wiele projektów na rok przyszły, ale o tem napiszę innym razem, bo — trzeba teraz miejsce innym koleżankom zostawić.

16. Cisza do Wykrzyknika 14. Podzielam Twe zdanie co do pisania dzienniczka. Nie mogąc znaleźć nikogo, przed kim mogłabym się szczerze wygadać, przelewam wszystkie myśli i uczucia na papier. — Szukam przyjaźni szczerej, prawdziwej, ale jej dotąd nie znalazłam. Najczęściej widziałam, że przyjaźń trwała tak długo, jak długo te osoby ze sobą obcowały, później zapominały o sobie. — Jeden tylko znałam wyjątek nad wyjątkami — serdeczną przyjaźń dwóch osób, które ze sobą nie przebywały. Najlepiej poznaje się przyjaźń w nieszczęściu. Doświadczyłam tego na sobie.

17. Cisza do Renetki. 11 I ja lubię nasze pisemko; zajmuje mnie powieść „Maryjka“, podobają mi się prace „Podolanki“. — Lubię rozwiązywać i układać łamigłówki.

18. Renetka do Wykrzyknika 14. Sądzę, że istnieje na świecie prawdziwa przyjaźń, lecz trudno nam o nią dlatego, że w przyjaźni szukamy własnej miłości, zadowolenia swej ambicji i dumy. — Słyszałam, że prawdziwa przyjaźń powstaje przez ukochanie jakiegoś celu wyższego i dążenie do niego. Takie ogniwo jest trwałe.

19. Uma-dina do Je-ma-jo 4. Sądzę, że w obecnym czasie nie powinnyśmy wcale myśleć o strojach „karnawałowych“, a skromnej sukienki nie powinnyśmy się nigdy wstydzić. Wszak: „nie suknia zdobi człowieka“.

20. A. B. do Wykrzyknika 14. Pisanie dzienniczka jest — według mnie — rzeczą nietyle mądrą, ile przyjemną. Wszak miło jest czytać zapiski z minionych dni — tyle bowiem nasuwa się wspomnień i refleksyj.

Czasem, gdy czytam urywki ze swego dzienniczka, widzę, że zupełnie inaczej patrzę na niejedno teraz — niż przed dwoma n. p. laty...

Ale przyznam się, że nigdy nie mogłam prowadzić dzienniczka przez dłuższy czas, a teraz całkiem zaprzestałam. Ach! zapatrywania nasze są jeszcze takie zmienne! Nieraz pisałam z zapałem i było to dla mnie przyjemnością, to znów — gdy zebrało się wiele uczuć, a nie mogłam przelać wszystkiego na papier, rzucałam pióro — i tak zawsze.

Ale może to dlatego, że znalazłam prawdziwą przyjaciółkę — taką właśnie „na śmierć i życie“, a jej mogę z wszystkiego się zwierzyć.

A wiesz co nas złączyło? Wspólne ukochanie jednego celu. Do jednego obie dążymy — i w tym kierunku mamy obie jednakowe zapatrywania.

Myślę, że prawdziwa przyjaźń trwa zawsze, a pewnie, że jest silniejsza, gdy się z sobą przebywa. Ale czy tak jest dalej, po rozłące z ukochaną osobą — tego nie wiem. Może nas ktoś bardziej doświadczony objaśni.

To rzeczywiście ciekawy temat i godny dyskusji. — A jak myślisz, czy można z kilkoma żyć w prawdziwej przyjaźni? Ja sądzę, że tylko z jedną osobą, z którą naprawdę się rozumiemy.

Prawdziwa przyjaciółka — to lepszy powiernik, niż dzienniczek, ale też o nią trudno.

Czy zgadzasz się ze mną we wszystkiem?

21. Zocha do Wykrzyknika 14. Mojem zdaniem, dobre jest pisanie dzienniczka, ale lepiej jest wyrazić swe myśli przyjaciółce, która może pocieszyć, poradzić. To prawda, że długiej przyjaźni nie widziałam, ani o niej nie słyszałam. — Pisanie dzienniczka zarzuciłam i teraz wybrałam koleżankę, która spełnia naprawdę rolę przyjaciółki. — Ale czy to długo potrwa?...

22. Rea do Wykrzyknika 14. Podzielam w zupełności Twoje zdanie co do dzienniczka, chociaż przed paru laty jedna z bardzo drogich mi osób, ostrzegła mnie, że pisanie dzienniczka może stać się szkodliwem, ponieważ pobudza do mówienia o sobie. Dziś mam własne zdanie oparte na doświadczeniu. Piszę czasem, nie codzień; zapisuję myśli, wrażenia, spostrzeżenia nad sobą. Czasem przeglądam dzienniczek i widzę własne wady, dobre postanowienia, o których zapomniałam i to pobudza do pracy. Znajdziess również wspomnienia z wakacyj, lat szkolnych... co kiedyś miłą będzie pamiątką. A przytem to wierny przyjaciel, czasem zgani, lecz nigdy nie wyszydzi. I ja również szukam i pragnę prawdziwej przyjaźni, tylko, że o to bardzo trudno. By była wierna i wdzięczna, musi być coś więcej nad zwykłą sympatję, którą odczuwamy czasem w stosunku do ludzi, musi być jakiś wspólny ideał, ukochanie, któreby dwie dusze powiązało na wieki. Wówczas niczem chwilowe nieporozumienia i przyjaźń taka, w której jest dążenie do wspólnego celu nie pryśnie nigdy. Patrz na Filomatów... Niezmiernie ważną rzeczą jest bezwzględna szczerość w słowach, postępowaniu — no i zapomnienie o sobie. Niech ci wystarczy, że Twoja przyjaciółka myśli o Tobie. Czy zgadzasz się?

23. Rea do Je-ma-jo. Nie mam żadnych strojnych sukienek, a bawię się zwykle bardzo wesoło, najweselej w mundurku. Opowiadano mi, że przed wojną młodzież kształcąca się, zgromadzała się na zabawy w takich samych, odświeżonych tylko sukienkach, w których chodziła na wykłady i bawiła się lepiej od niektórych strojniś, co godziny przesiedziały nad żurnalem mody. Myślę, że i dziś tak jest. Grzech śmiertelny przeciw miłości Ojczyzny popełniają Polki, które rzucają pieniądze na zbytki. Niech serca i umysły nasze będą bogate. Ubierajmy się skromnie, ale estetycznie, nie róbmy z siebie wycinanek z „Dernier cris de la Mode“.

24. Rea do Czytelniczek. Powiedzcie mi, czy się spotykacie z zastraszającym egoizmem młodzieży i dzieci, brakiem zamiłowania pracy społecznej i poradźcie mi, jak reagować na to.

NASZE SZKOŁY.

Gimnazjum SS. Urszulanek w Lublinie.

„NIL DESPERANDUM“ W TWÓRCZOŚCI REYMONTA.

„Nil Desperandum“ to wyraz nie tylko twórczości Reymonta, ale to hasło jego życia.

Od lat dziecinnych pociągał go świat, olśniewał przepychem przejawów życiowych.

Reagując na wszystko, co go otaczało, od najwcześniejszych lat notował swoje spostrzeżenia, aby je kiedyś oddać we wspaniałej formie.

Życie go porwało i niosło, miotając nim jak liściem spadłym z drzewa. Zmagał się w koniecznej, bolesnej walce o byt. Paliła ga tęsknota wol-

ności. Chciał zrzucić z siebie wszelkie pęta, aby tylko służyć umiłowanej prawdzie. Dlatego ta tułaczka, dlatego takie przerzucanie się z miejsca na miejsce.

Dlatego pchała go wciąż naprzód jakaś konieczność, jakieś prawo ciągnęło go ku świętym celom służenia Ojczyźnie.

Życie było dla niego jako żywioł burzliwy, niespokojny, nieuchwytny, niedający się ująć w karby, ni zamknąć w jakieś formuły.

Rozumiał, że ostoi mu się to tylko, co jest mocne, co jak dąb silnie, korzeniami wrośnięte w ziemię, potężne, nie mające lęku burz.

Reymont był takim dębem.

Gdy burza się silniej srożyła, gdy chciała go strzaskać, to on tem mocniej stał, tem bardziej walczył, aby tylko nie dać się zmóc, nie legnąć zwyciężonym.

Sondował życie z pasją odkrywcy. Do najgłębszych skłębień życia dostawał się jego wzrok urodzonego obserwatora. Dążył do ogarnięcia wszystkich dziedzin. Chciał ująć całokształt życia, jego fermenty i przemiany.

I oto jako wynik dotychczasowych jego przeżyć, wgłębiań się w życie Polski — powstaje hasło „Nil Desperandum".

Tak, nie należy rozpaczać.

Przez duszę genjalnego artysty przesuwa się rok 1794.

Widzi całą ohydę zgangrenowanego społeczeństwa. Zaprzedanie wszechwładnej Katarzynie, która ze szlachtą i z jej królem robiła co chciała, co było dogodnem dla jej polityki; znikczemnienie, ścinające krew w żyłach; zatracenie poczucia narodowego, zatracenie zmysłu orjentacyjnego w sprawach politycznych, bezład pojęć, bale wydawane na cześć rosyjskich dygnitarzy, służalcze zginanie karków przed lada-jakim generałem carowej, aby tylko pozyskać jego łaskawe względy, byle dostać więcej pieniędzy, więcej orderów — oznak zapłaty carowej za hańbę — to mogło doprowadzić do rozpaczy i rozpaczliwego okrzyku:

Zginęliśmy!

A jednak — „Nil Desperandum".

Tracić nadziei nie można. Trzeba ją utrzymać w duszach, utrzymać za wszelką cenę, strzec jak świętości, jak narodowego znicza, który musi wiecznie płonąć — od nadziei zależy los ojczyzny — upadek zupełny, lub ocalenie mimo tylu przejść, tylu błędów i tylu upadków.

I oto na tle potwornych jurgieltników carowej, maluje Reymont postaci słoneczne, wnoszące ze sobą nadzieję.

Sewer Zaręba, który osobiste swoje szczęście i samego siebie podporządkowuje służbie dla Ojczyzny i cały szereg innych patrjotów żyjących tylko dla ocalenia Polski, dla wydźwignięcia jej z toni, w jaką pogrążyły ją jej własne dzieci — te postaci swemi czynami wskazują, że nie zamarł w narodzie duch miłości Ojczyzny, nie zamarły — szlachetność i prawe obyczaje.

Więc — jeżeli tak jest, to Polska nie zginie.

Świetlana postać Kościuszki to najwymowniej głosi. Jego idea poświęcenia się dla Ojczyzny, idea stwierdzona czynami — oświetla Reymontowskie „Nil Desperandum".

Choć nie udały się zbrojne powstania, choć wróg tryumfował nad garścią rozbitych powstańców, choć urągał ich ranom i gnał ich w katorgi, lub na śnieżne pola Sybiru, to jednak w narodzie nie gasła nadzieja, potężniała raczej, bo na widownię wystąpił lud.

Reymont zdawał sobie jasno sprawę, że w ludzie tkwi siła i ta siła będzie podwaliną przyszłej Polski.

Przez drobne utwory, poświęcone życiu ludu, przewija się ów okrzyk tryumfu — zdobycz największa, jaką mógł Reymont osiągnąć w życiu — owo hasło człowieka jasno patrzącego w przyszłość — „nil desperandum".

Nie należy rozpaczać i tracić nadziei, że lud chełmski jest tak gnębiony i katowany przez władze rosyjskie. Trzeba tylko wierzyć, że car nie zdoła wyrwać z duszy Boga i Ojczyzny, a wiara będzie ostoją, będzie początkiem zwycięstwa.

Nie trzeba rozpaczać, że Winciorek, osaczony jak zwierz, zdobywa się w szale rozpaczy i zemsty na czyn nieetyczny. Nie trzeba rozpaczać, że zginął straszną śmiercią. Trzeba zrozumieć, że taka śmierć należała mu się według prawa Boskiego, że stało się „sprawiedliwie".

W ludzie spoczywa siła. Siłą tą jest charakter chłopa. Wiele ma chłop polski cech, które każą mniemać, że nadzieja ocalenia w nim leży. Reymontowi ukazuje się chłop jako ogromnie przywiązany do swego zagona i swojej wsi. W czasach zaborów uchroniło to od wyzbywania się ziemi polskiej na rzecz obcych kolonistów, a temsamem utrwalało i chroniło polskość.

Chłopska skrzętność, gospodarskość i przysłowiowy chłopski rozum wiele mogą przyczynić się do gospodarczego rozwoju państwa polskiego.

A więc — „nil desperandum" — przewija się przez karty epopei chłopskiej i ma znaczenie aktualne, bo rozwiązuje zagadnienie, czem dla Polski może być jej podwalina — lud.

Marja Bańkowska, ucz. VIII kl.

WARUNKI PRZEDPŁATY:

Kwartalnie 3·— zł, półrocznie 5 zł 50 gr, rocznie 10 zł. — Za przesyłkę egzemplarzy wydanych przed złożeniem opłaty, dolicza się **5 gr** od egzempl. Przedpłatę nadsyłać do Administr. „Dziś i Jutro", **Kraków, ul. Starowiślna 3.** Konto P.K.O. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie